

Rozdział 61

Po dwóch godzinach znaleźli się na dachu jednego z budynków nieopodal Connaught Place. Na jego dolnym piętrze był wielki skład książek Oksfordzkich i Harwardzkich, wydawanych tanio na rynek indyjski. Gauri była jedną z najlepszych klientek tej księgarni, zatem nikt nie oponował, gdy poprosiła o możliwość uchwycenia panoramy miasta z dachu wieżowca. Początkowo myślała, że lepiej eksperymentować z dala od centrum, gdzieś w Noidzie, albo Gurgaonie, ale doszła do wniosku, że tam kręci się równie wiele osób, zaś stare już drapacze chmur obok CP miały zapuszczone podwórza, po których kręcili się jedynie senni śmieciarze, których już nic nie było w stanie zdziwić.



– Jesteś pewna? – spytał Czandra, gdy Gauri stanęła na skraju budynku,

– Myślisz, że nie sprawdzałam – zaśmiała się dziewczyna i wyjęła nóż pochodzący jeszcze z Domu Pogranicza. Wbiła go sobie w rękę na wylot, po czym wyjęła. Nie poczuła bólu,

jedynie początkowo drobne, nie sprawiające cierpienia ukłucie, niejako informujące ją o tym, że coś się dzieje z jej ciałem. Z rany nie popłynęła nawet krew. Nanoboty zawrzały jak gotująca się woda i po ułamku sekundy na dłoni nie było żadnego śladu. – No przy czymś takim nie tracę świadomości, zobaczmy zatem coś innego – to rzekłszy skoczyła. Lot był krótki, poruszone lotem powietrze przyjemnie ochłodziło jej ciało wyrывая je na chwilę z nieznośnego skwaru dnia. Gdy dotknęła gruntu poczuła równie delikatne ukłucia w częściach ciała, na które spadła. Poza tym miała wrażenie, że spadła na coś miękkiego i elastycznego. Dopiero gdy wstawała wymacała rękami twarde beton płyt podwórza. Pod sobą zauważyła kilka roztrzaskanych w drobny mak butelek. Również dwucentymetrowa warstwa kurzu w miejscu gdzie upadła była zdmuchnięta i w postaci obłoku unosiła się wokół niej. – A może to jednak symulacja – pomyślała z niedowierzaniem.

– I jak, żyjesz? – krzyknął Czandra w biegu.

– Szybko jesteś, mają szybkie windy – rzekła Gauri ze śmiechem. – Może za miliony lat ugnę się pod brzemieniem nieśmiertelności i docenię wagę tej klątwy, ale póki co podoba mi się, że nie muszę bać się, że skądś spadnę. W dzieciństwie chyba miała drobne objawy lęku wysokości. Teraz czuję się całkiem nieźle.

– Te sprytne nanoboty chronią też twoje ubranie – zdziwił się Czandra. Rzeczywiście pendzabi Gauri było czyste i nie pomięte.

– Albo kosmita, który je stworzył wyrastał z kultury znającej pojęcia wstydu i nagości, albo chodzi po prostu o ochronę czułych urządzeń w ewentualnym skafandrze osoby je noszącej.

– Co jest dziwne, bo twój skafander rozwiął się na moich oczach – rzekł Czandra.

– Myślę, że to było złudzenie – stwierdziła pewnym głosem

Gauri. – Masz komórkę?

– Tak, wziąłem z domu zapasowy telefon, aby w razie czego wezwać pogotowie. Dobrze, że miałem zapas, bo nasze stare komórki są atrakcją w muzeum w NZDelhi – Gauri pokiwała głową. Wspomnienie o pozostawieniu komórek w muzeum musiało teraz przebywać w którymś z jej awatarów. Albo to wszystko była symulacja.

– Daj – Gauri chwyciła smartfon, ściągnęła aplikację „mały muzyk” i zagrała na niej krótką melodię. Skafander natychmiast oplótł ją i wyświetlił mapę wszechświata.

– No proszę, mogłabym mieć nawet sklerozę – zaśmiała się dziewczyna. – Wynika z tego, że Słoneczny nie przewidział, kogo dokładnie spotkam w Domu Pogranicza.

– Z nim to nigdy nic nie wiadomo – stwierdzi sceptycznie Czandra. – Nie wiedział, że znasz tę melodyjkę?

– Sama ją zaprogramowałam – zadumała się Gauri. – Mówiłam o tym Wadź, nie robiłam z tego tajemnicy. Mógł wiedzieć. Pytanie jednak, czy skafander nie rozwiązałby się naprawdę, gdyby nie „przeklęte nanoboty”.

– Ale po co ktoś programowałby złudzenie rozwiania, nie wiedząc o nanobotach? – Czandra wzruszył ramionami.

– Czandro, naprawdę jesteś w formie, ja zaś jestem trochę skołowana. Jednakże Słoneczny mógł chcieć, abym doszła do tego, że jednak mam skafander, wtedy historia z nanobotami nie ma żadnego znaczenia. Nie musiały rekonstruować skafandra, bo de facto nic mu się nie stało. Zmienił się tylko rodzaj kamuflażu. Słoneczny nie musiał wiedzieć o nanobotach, ale oczywiście mógł wiedzieć.

– Wydaje mi się, że naprawdę jesteśmy na Ziemi, a nie w symulatorze – oznajmił Czandra po chwili. – Tak pokręcone dylematy związane planami w planach byłyby dla symulacji

obnażające. A nikt nie zadałby sobie tyle trudu z symulacją, aby ujawnić ją po dwóch godzinach.

– Albo też twórca symulacji jest sprytny i chce, abyśmy myśleli, że skrajna otwartość zabawy z realnością uwiarygadnia rzeczywistość.

– Hm... To też możliwe – Czandra złapał się za głowę. – Ale w sumie nie ma się co martwić. Tak czy siak zbieramy doświadczenia, uczymy się i odkrywamy. Nie ważne, czy w realu czy w symulacji.

– Też tak sędzę – Gauri uśmiechnęła się. Kuracja sprawiła, że Czandra zaczął naprawdę jasno rozumować. Rozmowa z nim była przyjemna.

– Oczywiście my też możemy być elementami symulacji – dodał chłopak. – Albo ja dla ciebie, albo ty dla mnie.

– Chodźmy do sklepu muzycznego – rzekła Gauri. Wyszli z podwórza wieżowca. Zauważyli chudego jak szczapa i spalonego od słońca sprzątacza, który sennie sunął miotłą przewracając pokład kurzu z jednego miejsca na drugie.

– Widział pan jej skok? – zagadnął go Czandra. Śmieciarz pokiwał głową obojętnie, uśmiechnął się nieśmiało i dalej sunął miotłą w ramach swojej syzyfowej misji.

– To smutne, że mamy w Indiach tylu ludzi z dawnych niskich kast, którzy mają bezsensowną pracę i tak mizerną pensję, że nikt nawet od nich nie oczekuje, że będą się przykładać do tego co robią – zauważyła Gauri jak zwykle przy spotkaniu z takim biedakiem.

– Myślisz, że poza żywielią jest równość? – spytał Czandra.

– Nie sędzę – odparła Gauri. – Równość jest nienaturalna, a jej celowe ustanawianie zbrodnicze. Stalin, Lenin, Czerwoni Khmerowie... Tym niemniej bardziej rozwinięte cywilizacje niwelują wiele źródeł nierówności. Przede wszystkim te

najgorsze, zdrowotne. Dobra medycyna nie pozwala na kalectwo, nawet na wady genetyczne. Po drugie zauważyłeś chyba, że w niektórych cywilizacjach nie było już banków i pieniądza? Poziom rozwoju był tak wysoki, że bogactwem stały się pomysły, twórcze idee, odkrycia... Ale, oczywiście, jedni byli bogatsi w samorozwoju i eksploracji, inni zaś biedniejsi.

– To chyba wystarczy – zauważył Czandra. – Większa równość byłaby szkodliwa.

– Też tak sędzę – uśmiechnęła się dziewczyna. – Wejdźmy, muszę kupić struny do winy. Wiesz, te dobre.

Jeden z najlepszych sklepików muzycznych w Indiach sprzedawał głównie doskonałe sitary, których używał za życia sam Pandit Ravi Shankar. Miał jednak oczywiście też inne muzyczne dobra. Na oszklonych pułkach stały zatem licznie flety bansuri, lutnie sarody, bębny table. Wielkich win w sklepie nie było, ale były do nich progi i struny. Mało kto w XXI wieku umiał jeszcze zrobić dobrą północnoindyjską cytrę. Mało kto jej potrzebował. Muzyka z nią związana była najbardziej mityczna i najmniej przystępna dla zabieganego w codzienności słuchacza.

– O świetnie! – ucieszył się sprzedawca wyjmując zakurzone koperty ze strunami. – Sądziłem, że nikt już ich nigdy nie kupi. Zwłaszcza od kiedy zmarł Ustad Asaad Ali Khan, a jak pewnie pani wie, nie miał on głowy do uczniów.

– Miał do uczennic – zaśmiała się kosmitka.

– To świetnie, że Pani to kontynuuje – sprzedawca był najwyraźniej oddanym melomanem. – Nasza tradycja opiera się na gurushisya parampara, na przekazie od guru do shishyi, ucznia. Nie da się napisać podręcznika, który zawarłby najważniejsze subtelności wykonawstwa muzyki, to nie możliwe. To jak opisać dobry obraz licząc na to, że jedynie na bazie poświęconych mu słów uda się go wiernie odtworzyć.

– Sztuka to inny rodzaj myślenia i odkrywania świata. O ile słowa służą poezji, o tyle obrazy malarstwu, zaś dźwięki muzyce. Kto nie myśli dźwiękami nie zostanie muzykiem ani melomanem.

– Va! Va! – zakrzyknął zachwycony sprzedawca. – A mogłaby pani zagrać kilka śruti?

– Bardzo chętnie, ale nie ma Pan tu żadnej rudra winy – zauważyła kosmitka.

– Bardzo Panią przepraszam, może jednak użyłaby Pani sitaru jako zastępnika – zaproponował nieśmiało sprzedawca. Poszedł na zaplecze, po czym wrócił z robiącym wielkie wrażenie sitarem.

– To jeden z najlepszych, jakie kiedykolwiek stworzyliśmy – rzekł. – Wiem, że winy są szlachetnym echem eposu Mahabharata, zaś sitary wykuwały swój styl w domach uciech w Lucknow, lecz proszę być wyrozumiałą.

– To rzeczywiście wspaniały instrument – rzekła Gauri unosząc delikatnie wielką lutnię. Przez chwilę stroiła sitar, po czym zaczęła grać. Wszystkich ogarnęły cienie kosmicznych dali. Włosy Gauri zdawały się oplatać wokół lutni i drzeć, jakby były fizycznym odpowiednikiem dźwięków. Słuchających ogarnęły marzenia i nieodparte wizji, tęskne i wesołe, pogodne i straszne, złęcznione i bohaterskie. Rasy, muzyczne nastroje, krążyły po sklepiku jak driady. Przed sklepem zatrzymał się tłum przechodniów, niemal każdy, kto przechodził musiał się zatrzymać. Muzyka była nieodparta, doskonale wycelowana w ludzkie atawizmy i budująca na nich twórcze gmachy. Budowy nikt nie mógł zatrzymać.

– O rany, zrobiłaś postępy – wydusił w końcu Czandra, najbardziej ze wszystkich przyzwyczajony do tego zjawiska. Gauri już dawno przestała grać, on zaś musiał mocno walczyć ze sobą, aby odzyskać władzę nad ciałem.

– Proszę Pani – rzekł sprzedawca z trudem łapiąc oddech. – Za tydzień będzie koncert w ICC, musi Pani tam zagrać. Zapłacę, dam Pani wszystkie moje instrumenty, połowę udziałów w firmie, cokolwiek. Musi jednak Pani przyjść. To właśnie po to żyjemy, po to jest moja praca.

Przechodnie zgromadzeni przed sklepem dopiero teraz zaczęli bić brawa. Następnie wszyscy zaczęli dopytywać się o koncert za tydzień. Mało kto podchodził do Gauri, gdyż piękno jej muzyki napawało nadzieję, ale też lękiem.

– Dobrze, przyjdę – rzekła kosmitka. – To dobry pomysł.

– Naprawdę? Nie mamy innych rzeczy na głowie...? – zapytał ją Czandra, gdy oddalili się od sklepiku. – Jak chcesz się wydostać z Ziemi, robiąc z siebie gwiazdę muzyki klasycznej? Rozumiem, że sztuka zapewnia nam wielkie uniesienia, ale przecież nie aż tak dosłownie...

Ostatnie zdanie Czandry rozbawiło ich do tego stopnia, że przez dłuższą chwilę śmiali się, oparci o elewację jednego z budynków Connaught Place nieopodal poczty.

– Zauważ, drogi Czandro – wymusiła w końcu słowa Gauri, ale wciąż przerywała je atakami śmiechu. – Musimy, hi, hi... musimy opierać się na tym, co hi... hi... jest w nas mocne.

– Acha – pokiwał głową chłopak. – Chcesz pracy od podstaw. Niesamowite. Ale będąc gwiazdą północnoindyjskiej muzyki klasycznej nie uzbierasz na raketę kosmiczną. Ciężko o coś hi... hi.. bardziej szalonego.

– Zobaczysz Czandro, zobaczysz... – śmiech Gauri stał się mniej wybuchowy. – Zrobimy to w kilku krokach, nie będziemy przecież czekać na Kuberian.